

Skrótem na Karb

Historia, którą chcę Wam opowiedzieć wydarzyła się naprawdę. Jest to relacja z mojej wyprawy na Przełęcz Karb leżącą u podnóża północnej ściany Kościelca. Chciałbym, żeby opowieść ta stała się przestrożą dla tych, którzy udają się w góry z biorącą często górę nad rozsądkiem duszą nieustraszonego zdobywcy szczytów.

Działo się to podczas mojej pierwszej, "poważnej" wyprawy w Tatrach. Wraz z moją siostrą, szwagrem i siostrzenicą zamieszkaliśmy w Kościelisku. Lato tego roku było piękne, więc w naszych sercach zagościła nadzieja na bardzo udaną wyprawę. Pierwszy dzień pobytu spędziliśmy na bardzo przyjemnym spacerze Doliną Kościeliską, odwiedzając po drodze Jaskinię Mroźną. Następnego dnia miałem jednak w planach zupełnie inny, o wiele bardziej śmiały rajd...

4 lipca obudziło mnie wspaniałe słońce. Wyszedłem na balkon. Roztaczał się z niego wspaniały widok na całą niemalże panoramę Tatr. Śmiało mogę polecić Wam noclegi na Wojdyłówe. Choćby ze względu na niepowtarzalne widoki. Daleko z lewej majaczyły już skąpane w porannym słońcu szczyty Tatr Bielskich. Bardziej na prawo piętrzyła się dumnie grań Orlej Perci, potem Kasprowy Wierch, dostojny Giewont, Czerwone Wierchy i szczyty tatr Zachodnich. Pomyślałem sobie, że dobre duchy gór czuwają nade mną i zesłały mi wspaniałą pogodę, żebym mógł bezpiecznie przebyć zaplanowaną trasę.

Miała ona poprowadzić mnie, tym razem samotnie (ze względu na trudności długiego marszu zdecydowałem się nie zabierać ze sobą moich towarzyszy) przez Hale Gąsienicową na Kasprowy Wierch. Po drodze chciałem udać się nad Czarny Staw i Przełęcz Karb leżącą u podnóża Kościelca. Już około 9.00 wyruszyłem dziarsko z Kuźnic w kierunku Doliny Jaworzynka. Po około półtorej godziny intensywnego marszu zameldowałem się pod "Murowańcem". Po krótkim odpoczynku udałem się nad Czarny Staw Gąsienicowy a następnie zielonym szlakiem w kierunku Przełęczy Karb.

Na początku szlak prowadził po piargach i łagodnie je trawersował. Po kilkunastu minutach wspinaczki dotarłem do ściany, na której widniało oznakowanie szlaku (bez kierunku marszu). Na dobrą sprawę można było pójść zarówno w lewo jak i w prawo. Przede mną nie było nikogo. Od strony Czarnego Stawu też nikt nie kwapił się by ruszyć w tę samą co ja stronę. W zasięgu mojego wzroku nie było żadnych dodatkowych oznakowań szlaku. Nie bardzo wiedziałem gdzie iść. Droga w prawo wydała mi się trudniejsza, więc ruszyłem w lewo. Na początku szlak wznosił się dość łagodnie, potem przeszedł w stromy żleb. Wiedziony żłudną nadzieją, że zaraz będzie łatwiej wspiąć się w kierunku przełęczy. Po jakimś czasie uzmysłowiłem sobie, że od wspomnianej ściany nie widziałem żadnego oznaczenia szlaku i przeszło mi przez myśl, że się pomyliłem. Ale będąc już dobre 50 metrów nad piargami nie miałem szans powrotu po prawie pionowym żlebie. Dotarło to do mnie natychmiast, gdy spojrzałem pod nogi. Rad nie rad kontynuowałem wspinaczkę, choć nie mogłem pozbyć się myśli, że gdzieś wyżej czai się przeszkoda nie do pokonania. "Co ja wtedy zrobię? Mam telefon komórkowy to zadzwonię po TOPR, niech mnie ściągną" - myślałem sobie. Pokonałem już jakieś 75% wysokości żlebu, gdy nagle z przerażeniem stwierdziłem, że dalszą drogę zastawia mi olbrzymi głaz. Nie mogłem ominąć go z żadnej strony. "No to po sprawie!" - pomyślałem. Tkwiłem pod nim dobre kilka minut, aż stwierdziłem, że jestem w stanie go pokonać bez dużego ryzyka. Sięgnąłem powyżej, znalazłem solidny uchwyt i... zawisłem jakieś 150 metrów nad piargami nie dotykając nogami skały. Na szczęście bez większych trudności udało mi się podciągnąć... Gdy teraz pomyślę jak to mogło się zakończyć, gdyby zawiodły mnie mięśnie, zimny pot występuje mi na czoło. W porównaniu z tym, co przeżyłem dalsza część trasy była już tylko miłą i łatwą wspinaczką. Gdy stanąłem na przełęczy nie mogłem uwierzyć, że udało mi się wyjść z tego cało. Na początku nie mogłem opanować drżenia kolan. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się bałem. Gdy dotarłem do szlaku zdumiałem się szczerze. Na głazie siedziała starsza pani i jadła kanapkę zawiniętą w szary papier.

- Co robisz młodzieńcze - zagadnęła nieśmiało, nie ukrywając zdumienia z powodu kierunku, z którego nadszedłem.
- Wspinam się proszę pani - odpowiedziałem uprzejmie.
- Odważny młodzian - z podziwem dodała starsza pani.

Miałem jeszcze zapytać o sposób, w jaki tutaj dotarła, ale nie chciałem wyjść na kretyna i tylko przytaknąłem. Za chwilę jednak przekonałem się, że zejście w Dolinę Stawów Gąsienicowych jest wygodnym, kamiennym szlakiem, łagodnie trawersującym pomiędzy olbrzymimi głazami zalegającymi zbocz. Ucieszyłem się, że będę mógł bezpiecznie zejść w dolinę. Zanim jednak podjąłem dalszą wędrówkę,

postanowiłem się posilić. Gdy emocje opadły, poczułem głód. Wyciągnąłem kanapkę i podziwiając piękny widok na Granaty zacząłem zastanawiać się nad przebiegiem dalszej części wyprawy. Zbliżała się 13 a ja byłem już trochę zmęczony wydarzeniami ubiegłych godzin. Jednak nagle wróciła mi ochota do dalszej wspinaczki i postanowiłem kontynuować zaplanowaną trasę. Zszedłem, więc wygodnie do Doliny Stawów Gąsienicowych i ruszyłem w stronę Kasprowego Wierchu. Stacja kolejki i obserwatorium meteorologiczne kusily swoją złudną bliskością. Na początku szło mi nieźle, jednak po około pół godzinie wspinaczki zacząłem tracić siły. Podejście na sam szczyt zajęło mi nienaturalnie dużo czasu i gdy tam dotarłem było około 15.30. Miałem już "w nogach" 6 godzin marszu i nieźłą wspinaczkę. Widziałem także, że powrót z Kasprowego do Kuźnic to nie jest kwestia godziny, tylko dwóch i pół lub w moim stanie trzech. Postanowiłem się spieszyć, żeby zdążyć przed zmierzchem, który na zalesionym szlaku z Kasprowego zapada szybko.

Ruszyłem więc w drogę powrotną, lecz pech chciał, że przegapiłem zejście na szlak zielony i spiesząc się ruszyłem czerwonym w stronę Czerwonych Wierchów. Teraz nie wiem jak mogłem się aż tak pomylić. Fakt jest taki, że pędzony chęcią szybkiego powrotu w doliny brnąłem w ślepy zaułek. Zorientowałem się po 20 minutach marszu. Niezwłocznie zawróciłem, lecz w ten sposób straciłem około 40 minut niezwykle cennego teraz dla mnie czasu. Było około 16.30, gdy odnalazłem zielony szlak i skierowałem się w doliny. Mimo zmęczenia narzuciłem bardzo forsowne tempo i mimo zapadającego zmierzchu (a może właśnie dlatego?) pokonałem drogę do Kuźnic w 2 godziny 15 minut. Potem jeszcze tylko podróż "bussem" do Kościeliska i do domu.

Moi towarzysze bardzo się o mnie niepokoiili, ale informowałem ich na bieżąco o swojej sytuacji (telefony komórkowe to dobra rzecz), więc jakoś znieśli oczekiwanie na mój powrót. Opowiedziałem im wszystko ze szczegółami, wykąpałem się i po zasłużonym (choć trochę spóźnionym) obiedzie pojechaliśmy na Krupówki. Miejsce to bardzo przypadło do gustu moim towarzyszom, a mnie sprawiało radość patrzeć, jak ogarnięci szalem zakupów biegali od stoiska do stoiska. Starąłem się podsumować zdarzenia całego dnia i jeden wniosek ciągle nasuwał mi się na myśl: "Jeżeli zgubisz szlak w Tatrach to możesz znaleźć się w naprawdę trudnej sytuacji.". Pamiętajcie o tym i miejcie szacunek dla gór. Im lepiej przygotujecie się do górskiej wyprawy, tym mniej spotka was przykrych niespodzianek na szlaku. To nie jest moja myśl. Wiele razy powtarzał to Józef Oppenheim, znakomity taternik i jeden z założycieli TOPR'u. Jeżeli będziecie gotowi na spotkanie ze szlakiem to i górskie duchy będą dla Was łaskawe...